Nro 30. R. 1837. PIĄTEK 14 LIPCA.

ZBIÉRACZ
LITERACKI I POLITYCZNY.

JAN TRZECI
NA ŁOWACH.

Twiérdza Żołkiew w wolnych od bojów chwilach, była ulubioném miéjscem pobytu Sobieskiego. Jéj wytworny i obszérny zamek opiérał się o rozległy zwierzyniec (dziś Haraj zwany) w który spoglądając Król, nieraz dla rozrywki, przemykającego się pomiędzy krzaki, z okna ubił zająca lub lisa. Niedaremnie miéjsce to tak przyjemném było Sobieskiemu — tutaj każdy kamiéń lobo małych ale mocnych baszt, przypominał mu utarczki z pohańcami i jego zwycięztwa. Tutaj otaczały go święte cienia Żołkiewskich, na których grobach nieraz, modląc się nabiérał męztwa, jakoby wielkich przodków natchnieniem. — Nakoniec dokoła obfituje okolica w najpiękniéjsze knieje, gdzie jako namiętny lubownik myśliwstwa, przyjemnie przepędzał chwile. W zamku Żołkiewskim brzmiały tymczasem wesołe odgłosy. Królowa (1.) otoczona liczném gronem najznaczniéjszych w kraju osób, huczne dawała biesiady, bo pełna wesołości i lekkości umysłu francuzkiego, lubiła wrzawę licznych zabaw. Dwór jéj także po większéj części składał się z Francuzów, na którego czele znajdował się Burgrabia zamku Żołkiewskiego i Komendant załogi: Charles Gouvrier. Byłto osiedziały w Polsce cudzoziemiec, służył od lat już dziecinnych w wojsku koronném i nieźle popisywał się w kilku bitwach. Towarzysze broni w ogólności przyznawali mu waleczność, ale powiérzchowność jego ponura i spuszczony ciemny wzrok, lubo przy pięknych męzkich rysach twarzy, wszystkich od spółkowania znim odrażały. Sami nawet wodzowie, naoczne

(1.). Marya d'Arquien.

świadki jego walki i czynów, wzdrygali się nieraz, widząc jego wściekłą śród bitew zapamiętałość i okrucieństwo. Było wielu co się jego waleczności dziwili, ale nikt go nie kochał. Nareście względy Królowéj wspiérającéj wszystkich rodaków swoich, zjednały mu podwyższenie stopnia i korzystne miéjsce zawiadowcy zamku królewskiego. — Od świtu już brzmiały odgłosy trąb myśliwskich i wrzaski ogarów, w stronie zachodniéj Żołkwi, kędy ogromne góry, najéżone gałęziami starożytnych jodeł i świerków, a pomiędzy niémi przepaściste doliny; i rwiące się z kamiéni potoki, tworzą okolicę prawie Szwajcarską. Śród ciągłych łowów cały poczet zbliżał się lasami do Krechowa, gdzie Łowczy królewski w letnim zamku, przygotował był już ucztę myśliwską. Powoli przybywał tam jeden myśliwy po drugim, rzucał broń, ociérał znój, a wychyliwszy puhar wina, rzucał kawały mięsa i okruchy chleba spienionym jeszcze gończym swoim. W sali zamku przygotowany był stół ogromny, którego środek zdobiła całkowita, sztucznie upieczona sarna. Wspaniałe rogi ogromnych danieli i skóry pozabijanych przez Króla niedźwiedzi; przeplatane dzidami, kordelasami i inną bronią — zdobiły ściany sali, a garńcowe roztruchany i sążniste dzbany srébrne, aby w ruch poszły, czekały Najjaśniéjszego myśliwca. Ale jeszcze nieprzybył — już zjeżdżając się jeden po drugim, prawie wszyscy przybyli do Krechowa, tylko samego Króla nie widać. Już ustawionych przed bramą kilku strzelców, kilkarazy na rogach myśliwską przegrali piosenkę, a na troskliwe pytania Łowczego: «gdzieby «Król pozostał?» dowiedzieć się tylko można było, iż uganiając się za przedziwnéj piękności łanią, i chcąc sam miéć ukontentowanie ubicia jéj, zakazał wszystkim postępować za sobą i tak wkrótce w pędzie zniknął im z oczu. Oczekiwanie rodzi niecierpliwość, a z téj powstaje obawa i niespokojność. Dwunastu jeźdźców dosiada rumaki i rozprasza się po wszystkich stronach szukać ukochanego Króla. — Nim znajdą go wysłańcy, ty pójdź ze mną czytelniku w głębię kniei i borów Krechowskich.

I daléj — co raz daléj, — jeszcześ go nieznajdujemy? — Widzisz czytelniku jak dziką i okropną staje się ta okolica, i zdaje się żadnéj ludzkiéj niespostrzeżem istoty. — Wszakże to ondzie pieczara gdzie pobożni bracia Czercy (Bazylyanie) zostający w poblizkim teraz Monasterze, przez czas długi kryli się przed prześladowaniem najezdniczych pogan — lecz oto śród téj dzikiéj zarośli część jak gdyby uprawnéj ukazuje się ziemi, a tuż przytém uboga chata. W téj chacie na słomianém łożu leży Król znużony — i usnął. Mały, pięknéj urody chłopaczek, ogania gałęzią muchy, a przy pochyłém okienku siedzi nad kołowrotem piękna młoda kobiéta, któréj powabny rys twarzy, łzy rozpaczy czyli żałości srodze poorały. Na ubogiém ale czystém nakryciu stoi przygotowany gruby chléb i mléko, na posilenie, gdy się obudzi nieznajomy miészkańcom myśliwy. — Ocknął się nareście Król a z upodobaniem spójrzawszy na oganiającego muchy chłopczynę, porwał go i uściskał. — *Król*, Czy to wasz syn dobra kobiéto! — *Kobiéta*. Tak jest syn, biédny bez ojca siérota. — *Król*. Jako? tak młoda a już wdową jesteś? biédna kobiéto, nędzne musisz w téj puszczy prowadzić życie: lecz czémże był, i jak zginął twój małżonek? — *Kobiéta*. (Odwraca się ze łzami.) O niepytajcie oto szlachetny Panie, dość że ja nié mam małżonka a to biédne dziécię ojca. Gdyby nie to, i nieszczęśliwą nie byłabym, choć w téj ustroni; ta chata daje mi przytułek, para krów i owiec żywi mię, stary stryj który żyje ze mną, ot tam widzicie go pracującego w ogrodzie, jest mi obroną i poradą, a to dziécie rozrywka. — *Król*. (Spoziéra w okna.) Gdzież tam u Boga! dużo czasu ztrwoniłem, wszak widzę słońce już się zniża ku zachodowi; powiédz mi dobra kobiéto, czy daleko, i którędy mam udać się z tąd do zamku Krechowskiego? — *Kobiéta*. Będzie godzina drogi, a mój stryjaszek pokaże którędy? Wy Panie zapewne z dworu Króla, przybyliście na łowy z nim i spieszycie na biesiadę do zamku (ze łzami;) pięknie téżto tam się dzieje przy dworze, pełno kléjnotów i złota, ale szczérości, serca nie znajdzie. — Chciéj-

cie się na drogę posilić łaskawy Panie! dajemy co mamy, ale z serca. — *Król.* (Wysłuchawszy ją z uwagą i wpatrując się w nią.) Dla czegóżby to serca ni czułości nie znalazł na dworze Sobieskiego, wszakże on sam nie jest złym. — *Kobiéta.* Ba, o nim ci tu nie jest mowa, on jest dobrym Panem i wielkim wojownikiem ale jego dworzanie — ach osobliwie obcy, Francuzi, bez serca i litości. — *Król.* Zdajesz się miéć jakąś tajemnicę. Może który z dworzan Króla jest twego nieszczęścia przyczyną? — zwierz mi się biédna niewiasto! może ja pomódz lub przynajmniéj doradzić ci potrafię. — *Kobiéta.* Dziękuję wam Panie za waszę dobroć: piérwsze to słowo spółczucia, które od kilku lat słyszę, a to tak miło jest nieszczęśliwemu. Ale cóż wy zdołalibyście mi poradzić, przeciw temu co albo równy wam, albo może starszym jest od was dworzaninem Króla? — a potém ja niechcę się mścić, jam mu dawno już przebaczyła. — *Król.* (Uśmiéchnąwszy się.) Może ja cokolwiek starszym od niego jestem..... bo widzisz we mnie Marszałka dworu, pod którego okiem i rozkazami są wszyscy dworzanie. — *Kobiéta.* O tym gorzéj, tym gorzéj jeźli macie władzę, moglibyście się unieść litością nad losem moim i szkodzić mu — a ja tego niechcę, gdyż go jeszcze kocham — on nie jest złym — tylko na chwilę obłąkanym — ón pozna błąd swój i będzie mi wróconym. — *Król.* Więc go kochasz jeszcze: — ale niechże znam przynajmniéj zdarzenie to nieszczęsne, może tego człowieka daremnie obwiniasz. Cóż to, czy skrzywdził cię? czy ci zabrał własność i do nędzy cię przyprowadził? lub niewinną może tylko przyczyną twojéj jest niedoli? — *Kobiéta.* Ah! łaskawy Panie, ja niewiém co mną powoduje, ale osobliwe zaufanie mam do was — wam tylko wam, po tak długiém milczeniu, wszystko wszystko gotowa jestem odkryć, opowiém historyą mojéj niedoli, zeznam błąd mój nawet — prócz tylko nazwiska tego, który mi zawsze jeszcze jest drogim. — *Król.* (Usiadając.) Posłucham cierpliwie, bo mię los twój prawdziwie obchodzi. (Spoziéra w okno) mów tylko, wszak przed nocą dość czasu będzie zajechać je-

szcze do Krechowa. — Łzy poczęły się sklnić w oczach Eufemii, gdy miała począć opowiadanie, a tyle dobry ile waleczny Sobieski, szanując tajemnicę jéj szlachetnéj duszy, umyślił nie badać jéj daléj o nazwisko owego dworzanina, i raczéj wnioskując, starać się z jéj opowiadania odgadnąć go, i jeźliby go winnym znalazł, ukarać przestępcę. — *Eufemija.* W krótkości opowiém wam dobry Panie całe zdarzenie, ażeby nie nadszedł i nieposłyszał méj mowy stary stryj mój. Ah! ón od owego czasu znienawidził świat i ludzi, widzi w nich tylko tyranów, okrutników i niegodziwców, i bardzoby gniéwał się słysząc mię powtarzającą te dzieje. — *Król.* A zatym i ón jest skrzywdzonym przez tego niegodziwca?— *Eufemija.* Posłuchajcie tylko łaskawie: Ojciec mój był Plebanem ruskim w tych stronach. Wcześnie jeszcze straciwszy małżonkę a matkę moją, przyżwał tylko do siebie tego oto brata, wysłużonego i ranami okrytego towarzysza pewnéj chorągwi królewskiéj. Właśnie w on czas Król po odniesioném pod Chocimem zwycięztwie, powrócił do Polski, a część wojska zwycięzkiego, w te przyciągnęła strony. Byłam zaledwie piętnasto-letnią dziewczyną, a nadzwyczajnéj wesołości. Świat przybrany w oczach moich w najżywsze barwy wyobraźni, lubością napawał młodocianą duszę — ciągle śpiéwem brzmiały piersi — ciągle uśmiéchem jaśniały usta. Lecz ten miły poranek dziecięcéj duszy dotychczas dziką był tylko pustotą — aż inne czucia — inny mu dały kierunek. Znużone pochodem, i trudami bitew wojsko stanęło na wytchnienie w okolicach naszych, rozporządkowano ludzi po kilku na każde domostwo, a do ojca mego jako w miéjsce lepsze, dwóch najstarszych zesłano towarzyszy. Obaj Francuzi, ale zupełnie we wszystkiém sobie przeciwni. Jeden stary, ale zawsze pijący, śpiéwający i skaczący żołniérz — drugi młody piękny, jak mu wszyscy przyznawali waleczny, ale zawsze zadumany i smętny, jakiś nieznany miał urok dla mnie. Moje boże ale czułe serce, widziało w nim nieszczęśliwego — a dostrzegając iż blizkość moja, i obcowanie, chociaż ulotnie rozweselać go umié —

często — ah zbyt często z udziałem cisnęłam mu się do boku, chcąc wybadać przyczynę smutku jego. On milczał, ale jego słowa tęskne, jego milcząca żałość, a nadewszystko choć niewesołe, ale pociągające obcowanie — wkrótce nowe nieznane mi, tknęły mego serca strony. W tenczas mi słońce zeszło, byłam szczęśliwą — on ukształcił duszę moją, on dał mi uczuć rozkosz tego drogiego powabu młodocianéj méj duszy, którą tak długo nieczując posiadałam; przy nim dopiéro myśléć, przy nim czuć się nauczyłam (ociéra z łez oczy.) — *Król.* (W myślach.) Dworzanin — Francuz — popisywał się pod Chocimem — i zawsze ponury. — *Eufemija.* Co raz więcéj w obcowaniu z nim znajdywałam powabu, serce moje mimowolnie skłaniało się ku niemu — pobyt jego trwał kilka miesięcy — czas dokonał reszty nad słabém sercem i ah! — *Król.* Nieszczęśliwa! korzystał z twojéj słabości — uwiódł cię. — *Eumemija.* Przyrzekł być moim małżonkiem. — *Król.* I niedotrzymał? — *Eufemija.* Rozkazy Królewskie wezwały go do dworu do Krakowa na koronacyą i odtąd niewidziałam go. — *Król.* Ten zbrodzień (unosząc się) on ci musi to wynagrodzić (miarkuje się) on będzie twoim mężem. — *Eufemija.* Ah nie dość na tém — biédny ojciec uwiadomiony o stanie moim, chciał pismy swémi zniewolić go do spełnienia ślubów — lecz w krótce, gdy powiłam to nieszczęsne dziécię, życia dokonał. — *Król.* (Zadumany chwilę.) Bądź spokojna biédna niewiasto, może w tym jakie nieporozumienie — może wkrótce pospieszy on do nóg twoich, i wynagrodzi swoje przestępstwo. — Lecz oto już czas pospieszyć do zamku, słońce zapadać poczyna. — *Eufemija.* Właśnie téż i stary stryj mój powraca z roboty, on wam panie przewodnikiem będzie do zamku. Biedny starzec, napracował się od wschodu słońca. Po śmierci ojca mojego nieszczęśliwego, musieliśmy opuścić plebanią i niewiem dokąd nędzni bylibyśmy się udali, gdyby litościwi Czercy tego Monasteru, niebyli nam dozwolili w téj nędznéj chacie przytułku.

(*Dokończenie nastąpi.*)

——